

Tomasz Kozłowski
Katedra Socjologii
Wyższa Szkoła Nauk Humanistycznych i Dziennikarstwa, Poznań

Etiologia euro-gorączki Piłka nożna, memy i kulturowe konwulsje

Być może narażę się tym stwierdzeniem wielu osobom, trudno: mam już serdecznie dość gorączki wokół Euro 2012. Nie płakałem po papieżu – piszą jedni dumnie na swoich t-shirtach. Ja mógłbym dopisać: nie czekam na Euro 2012. Nie dlatego, że nie lubię piłki. Lubię – okazjonalnie. Nie dlatego, że uważam, że Polska organizacyjnie nie da rady, bo, szczerze mówiąc, nie wiem, nie mam zdania, nieszczególnie interesują mnie sprawy związane z infrastrukturą. Nie dlatego, że uważam to za błąd. Chcę wierzyć, że ta inwestycyjna zawierucha mimo wszystko wyjdzie nam – Polakom – na dobre, pod każdym względem, turystycznym, ekonomicznym, społecznym, cywilizacyjnym, kulturowym. Nie czekam na Euro, a dokładniej, nie cieszę się nim, choć może powinienem, bo codziennie muszę stać w korkach, przedzierać się od pół roku przez miasto w połowie sparaliżowane robotami drogowymi. Bo wpadam w dziury po zerwanym asfalcie, bo tracę czas. Gdy myślę, że wszystko to trwa od kilkudziesięciu bez mała tygodni dla kilku zaledwie meczów – bo przecież ile ich zostanie rozegranych w Poznaniu? – krew mnie zalewa i po ludzku mi się tego wszystkiego odechciewa.

Ale doskonale wiem, że jestem wyjątkiem. Większość ludzi, no dobrze, większość facetów w wieku, powiedzmy, 11-75 lat, nie myśli tak jak ja, tylko najnormalniej w świecie się cieszy. Większość już przebiera nóżkami, podnieca się biletami na mecze, większość zastanawia się nad kupnem lepszego telewizora, większość już szpera w promocjach cenowych na kolorowe spraysy do włosów, większość wreszcie rozrysowuje sobie trafik dnia podporządkowany nadrzędnemu celowi: transmisji.

Niektórzy – przypadki to już nieuleczalne, i szczęśliwie mniej liczne, w przeciwnym razie mogłaby nam grozić ekonomiczna katastrofa – przełożą urlop lub jeszcze gorzej, ku przerażeniu i rozpaczycy żon, zarezerwują go w całości na wojaże po stadionach, przesiadywanie w duchocie pubów lub przed niebieskim szkiełkiem z piwem i chipsami w kalibru „TV-paka”. Ich sprawa, nie mój zasmarkany interes. Ciężko jednak uniknąć choćby odrobiny socjologicznej zadumy nad fenomenem, który jest w stanie przeprogramować życie na tak wielu obszarach gospodarki, polityki, reklamy, dla którego takie masy ocierają się o manię bądź szaleństwo.

Lubię obejrzeć dobry mecz, choć uważam, że w 90% przypadków są owe mecze za długie i w 75% czasu niewiele się tam dzieje. Trudno mi zrozumieć, gdy o bezbramkowym meczu ktoś powie, że był dobry. Ponad 90 minut ganiań za piłką i nie ma punktu? Czy są inne dyscypliny z bezpunktowym werdyktem? Zawsze uważałem – choć jeszcze tej myśli nie opatentowałem! – że byłoby o niebo ciekawiej, gdyby stadion był w kształcie trójkąta równobocznego, na środku każdego boku byłaby bramka, grałyby nie dwie drużyny, tylko trzy, a piłki byłyby dwie (tym sposobem mielibyśmy pewność, że walka o piłkę będzie nieustająca). Spróbujmy sobie to przez chwilę wyobrazić... Prawda, że to działa? Akcja praktycznie w każdym momencie, uwaga drużyny – a to za sprawą dwóch piłek – nie na jednym froncie, ale na dwóch – tak wyobrażam sobie przyszłość piłki nożnej.

Niestety, póki co, dominuje powszechny, nieco wyeksploatowany, wytarty już i nudnawy wariant, w którym czas marnotrawiony jest na nieudane akcje, „porażające” statystyki (by nie być gołosłownym, w ostatnim meczu FC Barcelony i Chelsea Londyn, a więc stadionowych tuzów, Katalończycy oddali „aż” 6 celnych strzałów na bramkę w ciągu całego meczu! Średnia ilość strzałów na światowym poziomie to zaledwie jeden na kwadrans!) i pozorowane, teatralne wręcz faule, upadki i zwijanie z bólu by po chwili kątem oka poszkodowany zauważył wyblągany dla przeciwnika żółty kartonik, wstał i płaśał po zielonej trawce dalej. A ludzie, mimo to, szaleją...

Niewątpliwie, skoro już chcemy przyjrzeć się temu zjawisku (nie mam na myśli meczu, ale całe Mistrzostwa Europy) przez socjologiczny teleskop, jest w nim wiele z karnawału. Gdyby jakiś dawny flamandzki mistrz zamarzył sobie odmalować dzisiejsze oblicze walki postu z karnawałem w polskim wydaniu, po jednej stronie, mogę się założyć, umieściłby tłumne moherowo-smoleńskie pielgrzymki, a po drugiej feerię barw na cześć Euro 2012. Karnawalizacja rzeczywistości – terminem tym socjologowie posługują się na lewo i prawo, tyleż chętnie, co nie do końca precyzyjnie. O karnawalizacji mówi się w ostatnich latach często w kontekście pop-kultury, która lubuje się w zabawianiu nas, ale nie o zabawę tutaj chodzi, a przynajmniej nie tylko o nią. Karnawał to przede wszystkim odwrócenie ról społecznych, zakwestionowanie, zaprzeczenie panującego od dawna porządku. Stąd błazen królem, stąd osioł papieżem, etc. Stąd wszystkie te przemieszane sensory, które podziwiać można w obrazach dawnych malarzy.

Nie ulega wątpliwości, że i Mistrzostwa Europy w piłce nożnej to okazja do zabawy, ale w zabawie tej przejawia się również duch wspomnianego karnawału. Mamy na przykład do czynienia z czasowym zawieszeniem niektórych zasad regulujących funkcjonowanie struktury społecznej. W kontekście Euro 2012 możemy podziwiać żonglerskie popisy prezydentów, premierów a nawet księży. Zrównujemy strukturę wieku, czy nawet płci, mały, duży, stary, młody. chłopak, czy dziewczyna – na trybuny! Niczym na starożytnym olimpiadzie, zawieszono zostają spory. Nie dochodzimy kto legionista, kto widzowiak, potyczki ligowe schodzą na dalszy plan. Grunt, że jesteśmy po swojej, polskiej stronie. Podobnie zresztą rzecz ma się ze statusem materialnym. Cała homogenizowana horda ląduje na stadionie (niektórzy może w łóżach VIP-owskich, ale emocje przeżyją te same) i zaczną zgodnie, jak jeden mąż, śpiewać, falować, wrzeszczeć, współodczuwać. Granice tego szaleństwa, jak w karnawale, ściśle określa kalendarz. Po mistrzostwach wszystko, bezlitośnie, wróci do usankcjonowanej społecznie normy.

Drugi aspekt, na który socjolog może zwrócić uwagę wydaje się jeszcze bardziej fascynujący: to rytualizacja rywalizacji. O ile karnawał to wynalazek isticz człowieczy – jak doskonałą wszak trzeba mieć świadomość społecznego porządku i panujących zasad, by je z rozmysłem i w sposób tak zorganizowany, grupowo zanegować? – o tyle rywalizacja i jej zrytualizowane formy, to już wynalazek poczciwej Matki Natury.

Na dobrą sprawę korzenie działania sportowego, widziane przez socjologię, sięgają zachowań naszych braci mniejszych i to niekoniecznie tych najbliższych spokrewnionych, rzędu *Primates*, czyli naczelnych, ale znacznie głębiej. W świecie przyrody bez trudu spotkać możemy nie tyle prawdziwą walkę, ale jej formę bezpieczniejszą, zrytualizowaną, coś na kształt sportowego widowiska. Co prawda jej formy nie są tak spektakularne i absorbujące jak spektakl godzin Euro 2012, jednak funkcje społeczne, jakie owe formy pełnią, są do pewnego stopnia analogiczne.

Przykładowo, Konrad Lorenz, pionier etologii, dawno temu opisywał zachowanie gęsi gęgaw, które potrafiły minimalizować agresję w stadzie za pomocą szczególnego rodzaju „rytuałów”. Zwaśnione osobniki (powiedzmy dominujący samiec oraz pretendent do jego pozycji i roli w stadzie) stawały naprzeciwko siebie i rozpoczynały stosowne straszenie, a to drepcząc, a to wizualnie zwiększając swoje rozmiary, a to poruszając rozmaitymi członkami i szyją w geście grożenia, bądź markując uderzenia, aż do skutku, gdy jeden z oponentów decydował się wreszcie odpuścić, nie ryzykując otwartej wali wręcz (do której *nota bene* dochodziło – właśnie dzięki rytuałom – bardzo rzadko). *Voilà!* Spór zażegnany.

Jeszcze kilka tysięcy pokoleń wstecz gęsi przodkowie nieznający takich „kulturalnych” szranków, skoczyliby sobie z dziobami do gardeł, natura jednak zdecydowała, że warto odstąpić od takiego pomysłu, bo żadnemu może się to nie opłacić. Można wszak wszystko ustalić bezkrwawo i bezinwazyjnie, trzymając się pewnych reguł. Ze sportem – pod względem funkcjonalnym – jest niemal identycznie. Różnica polega na tym, że w przypadku sportu liczba rytuałów służąca ustaleniu hierarchii (a więc możliwości dojścia do wniosku, kto wygrał) jest niezliczona i teoretycznie nieograniczona. Gęsi, biedaczki, sposób mają tylko jeden – ten, który natura wdrukowała im w genotyp. Poza tym jednak mamy do czynienia z samymi podobieństwami.

Potrzeba rywalizacji i ustalania kto jest nad kim jest nieodłącznym elementem społecznego życia ludzi, emocje w trakcie takiego widowiska są nieudawane (zarówno ze strony sportowców, jak i na trybunach i choć wszyscy bulwersują się, gdy media donoszą o kolejnej wojnie kiboli, którzy „nie przyszli na mecz, tylko na bitwę”, z psychosocjologicznego punktu widzenia jest to działanie wytłumaczalne. Siła utożsamienia się z grupą jest tak wielka, że emocje wzbierające podczas śpiewów, okrzyków, przekleństw, prowokacji etc., wreszcie znajdują ujście i wydarzenie sportowe schodzi na dalszy plan), a najlepszym świadectwem tego, że do czynienia mamy z czystą krwią agresją jest fakt „wspomagania” się obecnością dzieci, których nieformalnym zadaniem, kiedy to idą za rączką z piłkarzami, jest łagodzenie agresywnych nastrojów (sposób wymyślony wieki temu).

Sport naturalnie można by rozpatrywać z powodzeniem jako typowo ludzki ekwiwalent takiej zwierzęcej rywalizacji, zresztą w podobnych analizach i metaforach nie ma nic nowego. Podobnie zresztą jak w hipotezach z obszaru psychologii ewolucyjnej, gdzie rytuał rywalizacji, jaki odtańcowują między sobą uczestnicy sprzyjać ma reprodukcyjnej promocji sportowców (w szczególności sportowców, którzy wygrywają i którzy swoimi zasobami oraz doborowym genotypem imponować mają partnerkom w sposób bardziej, albo mniej wysublimowany, jak to ma miejsce w przypadku Christiano Ronaldo, znanego z bezpośredniości w nawiązywaniu kontaktów damsko-męskich: „you-me-fuck-fuck?”). Tego rodzaju wyjaśnienia również są znane, mało tego, są dobrze umotywowane i wiele przemawia za tym, by je przyjąć, jako kawałek nagiej prawdy o *Homo sapiens s.*, jakkolwiek uważane bywają za obrazoburcze.

Ale mistrzostwa takie jak te, które mają ovladnąć Europą za kilka tygodni, podobnie zresztą jak inne imprezy o podobnym rozmachu, każą zastanowić się nad specyfiką kultury, w jakiej przyszło nam żyć. Nie przepadam szczególnie za metaforą „memu”, a więc porcyjki informacji, która na kształt wirusa, zawłaszczać ma nasz umysł, mnożyć się w nim na potęgę, rozprzestrzeniać na inne, zdrowe i czyste umysły drogą komunikacji i naśladownictwa.

Pojęcie memu wprowadził blisko 40 lat temu biolog Richard Dawkins, ten sam Richard Dawkins, którego nazwisko wypisują grubą czcionką na swoich sztandarach wszyscy racjoniści ateiści, ten sam Richard Dawkins, który rozpropagował pojęcie „Samolubnego genu” i któremu niesłusznie przypisuje się jego autorstwo. Wymyślając mem stworzył on tym samym obraz kultury, która *de facto*... nie potrzebuje człowieka. Powstaje i rozwija się samodzielnie, człowiek zaś jest jedynie jej „nosicielem”, kultura emanuje i przejawia się „poprzez” niego, podobnie jak grypa. Ludzie nie są „twórcami” grypy, powodują ją wirusy, ale grypa jako choroba przejawia się poprzez zarażony organizm. Memy, na wzór wirusów, czy też genów, walczą między sobą z zjadłością typowych istot żywych, a nasze umysły są im potrzebne tylko po to, by miały się gdzie reprodukować.

W perspektywie memetycznej człowiek nie jest już twórcą kultury, ale jej nosicielem, biernym i mimowolnym obserwatorem igrzysk, jakie memy wyprawiają sobie na dziewiczych pastwiskach jego psychiki. Nie „wybieramy”, nie „tworzymy” kultury. To kultura walczy, by wdrzeć się nam do mózgów. Tak oto – w ogromnym skrócie – rysuje się memetyczna wizja świata. Jak wspominałem, nie jest mi ona szczególnie bliska, jednakże przyglądając się wydarzeniom o sile rażenia zbliżonej do czyhającego na nas Euro 2012 – ze zdumieniem odkrywam, że do opisu euro-gorączki może być ta wizja wcale przydatna.

Wizja kultury, która kształtuje się walcząc o nosiciela i uzyskując przewagę poprzez zarażanie umysłów nie tak daleka jest wszak od wizji popkultury, która walczy o uwagę, a dokładniej, o uwagę odbiorców, za którą płacą reklamodawcy. Gorączka medialna, jaka narasta wokół Euro 2012 można spróbować zdiagnozować jako choroba, na którą zapada kultura Zachodu w określonym przedziale czasu (podobnie jak z sezonową grypą, na którą część populacji raz na jakiś czas się uodparnia, by ulec kolejnej, nieznośnej mutacji).

Tym samym, Euro 2012 pozwala spojrzeć na naszą kulturę nie tylko jako na kulturę konsumpcji, ale również jak na kulturę konwulsji. Wydarzenie medialne na miarę Euro 2012 spodziewać się może należytej oprawy i ma gigantyczny wręcz wpływ na wszystkie obszary rynku. Uśmiechnięte maskotki odnaleźć już możemy w przysłowiowej lodówce. O Euro mówi się od dawna, długo, intensywnie i często, w oczekiwaniu na kulminację. Bo tylko w ten sposób w popkulturze mogą istnieć zjawiska aspirujące do bycia zauważalnymi. Jeśli mamy wrażenie, że co 4 lata gorączka wokół imprez podobnej rangi jest coraz to wyższa, to tylko i wyłącznie z tego powodu, że narasta intensywność produkcji i przerobu popkultury na wszystkich frontach jej działania. Skutek? Infosfera eksploduje daną ideą – w tym wypadku ideą Euro 2012 – jeszcze silniej i intensywniej, bo tylko tak można utrzymać odpowiedni poziom zainteresowania. Dlatego właśnie sądzę, że metafora konwulsji jest uzasadniona. Konwulsje targają w gorączce całym organizmem, a nie – przykładowo – tylko lewą ręką, czy połową twarzy. Podobnie wydarzenie medialne tej rangi – objawia się z potężną siłą w praktycznie wszystkich sferach, a są nimi: rozrywka, rynek, polityka, sztuka, architektura, a nawet religia, historia, na sferze przestępczej kończąc (od podróbek markowych produktów, poprzez przemyt używek, aż po handel żywym towarem uatrakcyjniającym kibicom pobyt etc.). Memy o tak szerokim działaniu memetycy nazywają mempleksem. Euro 2012 jest więc gorączką, która – za sprawą mempleksu o szerokiej skali zaraźliwości – pojawia się w najróżniejszych obszarach rzeczywistości dzięki spokrewnionym, uzupełniającym się wirusom. Centralne miejsce zajmuje jednak wciąż widowisko sportowe.

Ktoś kiedyś powiedział, że gdyby w kosmos miała ulecieć jedna fraza, która mogłaby gwiazdnym braciom nieść wiadomość o naszym istnieniu w możliwie przyjazny sposób, która jednocześnie byłaby świadectwem tego, co w ludzkości absolutne – wysłałaby w przestrzeń muzykę Bacha. Przyznajmy szczerze, gdyby z podobną misją mielibyśmy nadać transmisję wydarzenia sportowego – większość Ziemi za najbardziej reprezentatywną uznałaby piłkę nożną. Pojawia się pytanie: dlaczego to właśnie piłka nożna urasta do rangi swoistego symbolu, łączącego pokolenia. Co w niej jest takiego, że szaleją na jej punkcie narody i generacje, że jest ona swoistą ikoną, apoteozą wydarzenia sportowego? Innymi słowy, dlaczego taka gorączka nie wybucha wokół skoku w dal, curlingu, polo, baseballu czy zawodów pływackich? Ba, nawet królowa sportu, lekkoatletyka, budzi mniejsze emocje.

Wyjaśnienie fanatycznej uwagi, jaką cieszy się piłka nożna kryje się w jej zespołowej naturze i agresywnym przebiegu. Zauważmy, że podobne emocje są w stanie wyzwać przede wszystkim konkurencje drużynowe. Z grupą o wiele łatwiej się identyfikować, aniżeli z pojedynczym sportowcem. Owszem, możemy wypiekami na twarzy dopingować Isię Radwańską, Roberta Korzeniowskiego, Adama Małysza czy Roberta Kubicę, ale żadna z tych dyscyplin nie wyzwała takiego poziomu ekscytacji, jak konkurencja drużynowa, gdzie przeciwnikiem jest jedna, konkretna drużyna, łatwi do zlokalizowana „oni” i tym samym – jeszcze łatwiej kanalizująca oczekiwania tłumów: gramy przeciwko „nim”, przeciwko tym, stoją na drodze do wygranej.

Widowisko sportowe w które zaangażowane są dwa zespoły ma w sobie coś z regularnej bitwy, a nie zrytualizowanej rywalizacji wielu konkurentów, spośród których trudno jest namierzyć tego, przeciwko któremu występujemy „przede wszystkim” (ostatnio takie emocje wywoływała rywalizacja Marit Bjoergen i Justyny Kowalczyk, zwróćmy jednak uwagę, że emocje te w spektakularny sposób potęgowane były przez fakt występowania w zasadzie całego zespołu norweskich maszyn do wygrywania pod przewodnictwem demonizowanej przez prasę, androgenicznej wręcz Bjoergen. I przeciwko temu szwadronowi mieliśmy tylko naszą Justynę).

A więc magia gry zespołowej. Ale to nie wszystko. Zwróćmy uwagę, że liczba zawodników jest w sam raz taka, że śledzenie wydarzenia sportowego przychodzi kibicom stosunkowo łatwo. Łatwo jest – przynajmniej owej „większości”, o której pisałem na początku – spamiętać składy i nazwiska, dokładnie określić role, mieć w pamięci osiągi i możliwości każdego zawodnika, bawić się tym samym w stratega. To również nic innego, jak echa naszej przeszłości, kiedy to relacje w grupie oraz międzygrupowe określało się dzięki podziałom sił przypadającym na określone koalicje sił i interesów. Sport stanowi ciekawe przeniesienie tych potrzeb na neutralny grunt stadionu.

Całą atmosferę podgrzewa również język, który eksponuje przede wszystkim walkę: atak, pomoc, obrona, strzał. Skoro – jak chcą psycholodzy – myślimy i poznajemy świat również poprzez język, nic dziwnego, że widowisko sportowe jest dla sportowców, ale i oglądających, przede wszystkim walką, w której agresja jest nieodłącznym elementem. Oczekiwanie walki potęgowane jest również przez nieobojętny kontekst historyczny. Reprezentacja narodu nie jest wysyłana na dziewicze pole, swoistą *terra incognita*, na której nie wiadomo kogo spotka i czego się można spodziewać. Wkracza ona w świat zaszłości, dawnych tryumfów i upokorzeń, które na nowo będą rozpamiętywane przez dziennikarzy, komentatorów i wszystkich na około.

Zwycięstwa i przegrane, choć w dobie politycznej poprawności i multikulturowości unika się – i słusznie – tej retoryki jak ognia, mają wymiar jak najbardziej historyczny. Nie mam wątpliwości, że dla znacznej części społeczeństwa potyczki sportowe z Niemcami i Rosją uzyskują symbolikę więcej niż tylko sportową (jak dalece te zaszłości sięgają świadczyć może przykład mego dziadka, który śledząc wydarzenia sportowe antypatię rozciąga nawet na Francję czy Anglię – a to za kolaborację Paryża, a to za Jałtę, i tak dalej, powód się znajdzie). Jest to interesujące ekstremum, które jednak skłania do namysłu, jaki jest sens i czym dla ludzi faktycznie jest celebrowanie wydarzenia sportowego: okazją do dobrej zabawy, angażowania się w strategię, czy przeżywania na nowo historycznych sporów, czy to tradycji sportowej, czy wręcz politycznej...

Euro-gorączka zbliża się nieubłaganie, oczekuję jej z drżeniem serca i nadzieją na ukończenie robót drogowych. Niech już będzie, że każdy dzień przybliży mnie do eksplozji radości, niech będzie, że przybliży mnie tak jak przybliży większość samców w wieku 11-75 lat. Zakładam, że obejrzę wszystko od ćwierćfinałów w górę. Życzę Polakom jak najlepiej. Nie ironizuję i dlatego też – przewrotnie – nie zamierzam kończyć żadną puentą, a jedynie małym *post scriptum*: przed chwilą przeczytałem, że spece z Mosadu wieszczą nam różne terro-niespodzianki z tej okazji, mało, są pewni, że terroryści już ogarniają całą sprawę od strony kalendarzowo-logistycznej. Czy oznacza to zatem, że teza o kulturze konwulsji, która jednym medialnym wydarzeniem rozciąga się wszędzie, nawet na Bliski Wschód, który nigdy nie wybaczy nam więzień CIA, bez względu na to, czy były, czy nie, jest słuszna? Mam nadzieję, że nie w tym wypadku.

Do boju Polsko!

Tomasz Kozłowski